

## Leoś i magiczna Morska Latarenka

Na końcu długiej, słonecznej zatoki była wyjątkowa plaża. Piasek był tam tak złoty, że wyglądał jak rozsypane słońce. Fale szeptały: „szszsz... szszsz...”, mewy wołały: „krii, krii!”, a woda mieniła się jak milion małych diamentów.

Przy tej plaży mieszkał mały lew o imieniu Leoś. Nie był jeszcze wielkim, groźnym lwem. Był Leweczkiem – miał miękką, trochę nastroszoną grzywkę, okrągłe łapki i pyszczek, na którym bardzo szybko pojawiała się złość, ale też bardzo szybko uśmiech.

Leoś bardzo kochał swoją lwią rodzinę: mamę Lwicę, tatę Lwa i starszą siostrę – lwiczkę Lunę. Mieszkał z nimi w przytulnej jaskini z widokiem na morze. Na ścianach jaskini wisiały muszelki i kawałki drewna wyrzucone przez fale. Kiedy wiatr dmuchał, wszystko delikatnie dźwięczało: „dzyń... dzyń... dzyń...”.

Rano Leoś chodził do lwiego przedszkola, które znajdowało się kawałek dalej, za palmami, w cieniu dużej skały. Tam bawił się z innymi małymi lwiatkami, czasem wesoło, a czasem... no właśnie.

Były takie dni, kiedy wszystko szło nie tak.

– Leoś, czas do przedszkola – wołała mama.

– Nie chcę! – burknął Leoś, chowając łebek pod liść palmowy, który udawał koldrę.

W lwichu-przedszkolu było jeszcze trudniej. Czasem, gdy ktoś zabrał mu zabawkę, albo pani Popi – lwica-opiekunka – mówiła: „Teraz kolej Sara, poczekaj chwilkę”, w środku Leosia robiło się gorąco jak wulkan.

Najpierw czuł, że jego łapki są twarde jak kamienie. Potem serce zaczynało mu bić: „bum, bum, bum”. W uszach huczało mu jak fale w czasie sztormu.

I wtedy...

– RYYYYYK!!! – Leoś ryczał tak głośno, że małe kraby na plaży pewnie się chowały pod kamienie, choć były daleko.

– Odejdźcie! Zostawcie mnie! Idźcie sobie wszyscy! – wrzeszczał, z oczami pełnymi łez.

Inne lwiatka odsuwały się od niego, czasem trochę przestraszone, czasem obrażone.

A po chwili, kiedy złość trochę się uspokajała, w Leośku robiło się nagle bardzo pusto. Patrzył dookoła: wszyscy dalej się bawili, ale bez niego.

Wtedy jego głos stawał się cichszy, drżący: – No... nie odchodźcie... – mamrotał. – Nie chcę być sam...

Ale chwilę wcześniej sam krzyczał, żeby wszyscy odeszli. I teraz nikt nie wiedział, o co mu właściwie chodzi.

Po południu na plaży bawił się ze starszą siostrą Luną. Budowali „lwie zamki” z piasku, stawiali wieże z muszelek, a czasem skakali przez fale.

Pewnego dnia Luna zbudowała piękną wieżę z muszelek.

– Patrz, Leoś! To dla nas – powiedziała dumnie.

– Ja też chciałem! – krzyknął Leoś. – To moja muszelka! – i pac! łapką zburzył wieżę.

Muszelki rozsypały się po całej plaży. Luna otworzyła szeroko oczy.

– Leoś! Przestań tak niszczyć! – zawołała ze złością.

Serce Leosia znowu zaczęło walić. Zrobiło mu się gorąco w buzi, jakby zjadł za dużo ostrej trawy.

– Odejdź! Nie chcę z tobą być! Idź sobie! – wrzasnął i odwrócił się tyłem.

Luna chrupnęła piaskiem pod łapkami i odeszła kawałek dalej, ze smutną miną. Zaczęła budować coś sama.

Leoś usiadł na mokrym piasku. Słone krople z morza przyskały mu na wąsy.

„Super... – pomyślał. – Teraz jestem sam... Ale wcale tego nie chcę”.

Popatrzył na Lunę z daleka. Czuł klucie w brzuchu. Chciał, żeby wróciła. Ale jego pyszczek dalej był naburmuszony i nie wiedział, jak powiedzieć: „Przepraszam. Zostań ze mną”.

Zamiast tego mruknął cicho, tylko do siebie: – No... nie odchodź...

Wiatr zabrał jego ciche słowa i tylko morze je usłyszało.

Wieczorem w jaskini było cicho. Tylko morze nuciło swoją piosenkę: – Szszsz... szszsz... szszsz...

Mama Lwica przykryła Leosia miękką trawą i przytuliła go delikatnie.

– Dobranoc, mój lwiczku.

– Dobranoc – odpowiedział Leoś, ale głos miał smutny.

Mama usiadła obok.

– Co się dziś stało, mój skarbie?

Leoś westchnął i nagle cała złość, smutek i wstyd wyskoczyły mu z oczu w postaci łez.

– W przedszkolu się znowu darłem... – wyszeptał. – Krzyczałem, żeby wszyscy poszli sobie. A potem... wcale nie chciałem, żeby poszli. I z Luną też... Krzyczałem, że jej nie chcę. A tak naprawdę chciałem, żeby się ze mną bawiła...

Przytulił się mocno do mamy.

– Ja chyba jestem popsuty, mamó... Raz chcę być sam, a raz nie chcę... I nikt nie rozumie, o co mi chodzi.

Mama pogładziła go po grzywce.

– Nie jesteś popsuty, Leośku. Po prostu w twoim serduszkku mieszkają naraz różne uczucia. Czasem bardzo silne. To trudne. Ale można się nauczyć, jak o nich mówić.

– Ale jak, mamó? – zapytał Leoś, pociągając nosem.

Mama zamyśliła się.

– Słyszałeś kiedyś o Morskiej Latarenkę? – spytała tajemniczo.

– O kim? – oczy Leosia zrobiły się duże.

– O malej, czarodziejskiej latarni, która czasem pojawia się na naszej plaży, gdy lwiątkom trudno jest w środku. Podobno świeci różnymi kolorami, kiedy ktoś ma w sercu pomieszane uczucia.

– A ona... umie to naprawić? – spytał cicho Leoś.

– Ona niczego nie naprawia – uśmiechnęła się mama. – Tylko pokazuje, gdzie jest przełącznik.

Leoś tego za bardzo nie rozumiał. Ale słowo „czarodziejska” brzmiało ciekawie. I zanim zdążył zapytać więcej, oczy zrobiły mu się ciężkie i zasnął, słuchając szeptu fal.

Następnego dnia po przedszkolu Leoś znowu wrócił zły i zmęczony. Znowu pokłócił się z kolegą o klocki, znowu ryknął, znowu krzyczał: „Odejdźcie!”, a potem było mu smutno.

– Idę na plażę – mruknął tylko do mamy.

Słońce zaczynało zachodzić. Plaża była ciepła i spokojna. Nikogo nie było widać, tylko kilka małych krabów i mewy na niebie. Fale delikatnie dotykały brzegu.

Leoś usiadł na piasku i kopał łapką dołek.

– Głupie przedszkole... głupi ryk... głupie „odejdźcie”... – burczał pod nosem.

Nagle, kawałek dalej, przy samym brzegu, coś błysnęło. Najpierw myślał, że to po prostu słońce odbija się w wodzie. Ale światelko było inne. Mieniło się zielenią, potem niebieskim, potem różowym.

– Co to...? – Leoś zmrużył oczy.

Stał na łapki i powoli podszedł bliżej. Piasek był chłodniejszy, bo dotykały go fale. Woda muskała mu łapki, robiąc: „plum, plum”.

Na niewielkim kamieniu stała mała latarenka. Nie była wysoka – mniej więcej taka jak Leoś. Miała złotą, lekko zardzewiałą ramkę i szybki, za którymi wirowało kolorowe światło. Wyglądało, jakby ktoś zamknął w środku tęczę.

Latarenka poruszyła się leciutko, jakby go zauważyła.

– Ooo, lewek – powiedziała miękkim, dźwięcznym głosem, jakby dzwoniła muszelka. – Czekałam na ciebie.

Leoś aż podskoczył.

– Tyyy... umiesz mówić?! – wykrztusił.

– A ty umiesz ryczeć – odparła wesoło Latarenka. – Więc czemu ja nie miałabym umieć mówić?

Zaśmiała się krótkim „dzyń-dzyń”.

Leoś zrobił niepewny krok do przodu.

– Ty jesteś... Morską Latarenką? – zapytał.

Światło w latarenkę zamigotało radośnie.

– A jak myślisz? – mrugnęła.

Leoś usiadł naprzeciwko Latarenki. Czuł jednocześnie ciekawość i trochę strachu.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – zapytał.

– Słyszę serca, które krzyczą, choć buzia mówi coś innego – odpowiedziała spokojnie. – Twoje serduszko robiło dziś: „BUM! RYYK! BUM! NIE CHCĘ! BUM! ZOSTAŃCIE!”. To było głośne.

Leosiowi policzki zrobiły się czerwone.

– Ja... krzyczę za głośno... – mruknął. – Panie w przedszkolu mówią, że mam przestać. Koledzy się boją. A ja raz chcę, żeby sobie poszli, a potem wcale nie chcę...

Latarenka rozjarzyła się ciepłym, złotym światłem.

– Wiesz, Leoś, serca są jak morze.

– Jak morze? – spytał zdziwiony lewek, zerkając na fale.

– Tak. Czasem morze jest spokojne: „szszsz...”, małe fale, miękko, cichutko. Wtedy w środku jest spokój i łatwo to poczuć. Ale czasem przychodzi sztorm: wielkie fale, wiatr, hałas. W środku: „BUM! HAU! RYYK!”. I wtedy jest trudniej.

Latarenka delikatnie zamigotała na niebiesko.

– Ty, Leośku, masz w serduszku morze, które potrafi być bardzo burzliwe. To nie jest złe. To znaczy, że bardzo mocno czujesz. Tylko nie nauczylesz się jeszcze, jak mówić o tym, co się dzieje w środku, zanim przyjdzie wielki ryk.

Leoś spojrzał na fale. Faktycznie: teraz morze było spokojne, ale raz widział je w czasie sztormu. Było wtedy ogromne i głośne, prawie tak jak on, kiedy był wściekły.

– Ale ja... – zawahał się. – Jak jestem zły, to chcę, żeby wszyscy poszli. A jak odchodzą, to jestem smutny i już nie chcę, żeby szli. I nie wiem, co z tym zrobić.

Latarenka rozbłysła na dwa kolory naraz: połowa była ciepło-żółta, a połowa chłodno-niebieska.

– Czy widzisz, że we mnie teraz świecą dwa kolory? – spytała.

– Widzę – przytaknął Leoś. – Jakbyś była trochę tym... a trochę tym.

– Bo tak właśnie jest w sercach. Możesz jednocześnie chcieć dwóch rzeczy. Możesz chcieć być sam i nie sam. Chcieć, żeby ktoś odszedł i żeby został.

– Ale jak to? – zrobił wielkie oczy Leoś. – Przecież to się gryzie!

Latarenka uśmiechnęła się światłem.

– Morze też potrafi być jednocześnie chłodne i ciepłe: przy brzegu cieplejsze, głębiej chłodniejsze. I jest OK. Ty masz w środku dwie potrzeby. Pierwsza mówi: „Potrzebuję spokoju, nie dotykaj mnie, nie mów do mnie za dużo!”. Druga mówi: „Zostań blisko, nie zostawiaj mnie samego, bądź przy mnie”.

Leoś spuścił wzrok.

– No tak mam... – szepnął. – Ale jak o tym powiedzieć? Jak się złączę, to słowa uciekają. Zostaje tylko: „RYYYK!”.

Latarenka poruszyła się na kamieniu, jakby podskoczyła z zapałem.

– I tu właśnie jestem ja – powiedziała. – Uczę małe lwiątko magicznych słów. One są jak małe światełka, które pomagają innym zrozumieć, co się dzieje w twoim morzu-sercu. Chcesz je poznać?

Leoś kiwnął głową tak szybko, że jego mała grzywka aż podskoczyła.

– Dam ci dwa zdania – powiedziała Latarenka. – Nie są długie, ale bardzo ważne. Pierwsze brzmi:

**„Jestem bardzo zły, potrzebuję chwili sam.”**

Drugie:

**„Ale proszę, zostań blisko, nie odchodź daleko.”**

Leoś powtórzył niepewnie:

– Jestem bardzo zły... potrzebuję chwili sam... Ale proszę, zostań blisko... nie odchodź daleko...

Słowa smakowały dziwnie, ale... jakoś dobrze.

– To są zdania, które mówią naraz o obu twoich potrzebach – wyjaśniła Latarenka.

– To jest tak, jakbyś powiedział: „Fale są dziś bardzo duże, nie podpływaj za blisko, bo cię ochlapie. Ale proszę, nie odpływaj zupełnie, bądź w pobliżu”.

W tym momencie wydarzył się **Rolls Royce Moment** – jedno, bardzo ważne zdarzenie, które Leoś zapamięta na długo.

Stało się to tak:

Morze nagle zaszumło głośniejsze. Fale stały się trochę większe i zaczęły z pluskiem uderzać o kamień, na którym stała Latarenka. Wiatr powiał mocniej, aż grzywka Leosia zatańczyła. Niebo nad nimi pociemniało od nadchodzącego wieczoru, a słońce było już tuż nad linią wody, czerwone i ogromne.

Na całej plaży zrobiło się złoto-pomarańczowo. Każde ziarenko piasku lśniło jak miniaturowa gwiazdka. Woda była różowa i fioletowa, jak wymieszane farby.

Latarenka zaczęła świecić mocniej. Wewnątrz niej wirujące światelka przyspieszyły, mieszając kolory: ciepły żółty, spokojny niebieski, miękki różowy i odrobinę ognistej czerwieni.

– Wstań, Leoś – poprosiła. – Stań tu, gdzie dotykają cię fale.

Leoś posłusznie stanął blisko brzegu. Chłodna woda zanurzyła jego łapki. Piasek pod spodem był miękki i trochę uciekał spod palców.

– Zamknij oczy – powiedziała Latarenka. – Słuchaj morza.

Leoś zamknął oczy. Usłyszał: „Szzszsz... bum... pluumm... szszsz...”.

Fale dotykały jego łapek, raz mocniej, raz delikatniej. Leoś poczuł, że jego ciało samo zaczyna oddychać razem z wodą.

– Teraz – szepnęła Latarenka – wyobraź sobie, że twoje serce jest jak to morze. Nie próbuj go uciszać. Niech będzie takie, jakie jest.

Leoś stał z zamkniętymi oczami. W środku najpierw było głośno: „RYYYK! BUM! NIE!” Ale po chwili między tymi dźwiękami pojawiły się przerwy. Małeńkie. Jak oddechy.

– A teraz – ciągnęła Latarenka – połóż łapkę na piersi.

Leoś zrobił to. Poczuł bicie serca. Już nie tak szalone.

– Kiedy czujesz, że zaraz wybuchniesz – powiedziała – nie musisz wybierać: albo ryk, albo samotność. Możesz zapalić dwa światła naraz.

Latarenka rozbłysła. Jedna szybka świeciła ciepłym żółtym światłem, druga spokojnym niebieskim.

– Żółte mówi: „Jest mi bardzo trudno”. – Niebieskie mówi: „Potrzebuję chwili spokoju”. A razem... – światła połączyły się w miękki, zielonkawy blask – ...razem mówią: „Nie zostawiaj mnie”.

Leoś otworzył oczy. Coś w nim kliknęło. Jakby naprawdę zobaczył przełącznik, o którym mówiła mama.

– Czy ja mogę tak powiedzieć? – zapytał niepewnie. – Nawet jak jestem bardzo zły?

– Właśnie wtedy najbardziej – odpowiedziała Latarenka łagodnie. – To nie jest magia, która sprawi, że już nigdy nie będziesz ryczał. To magia, która sprawi, że inni zrozumieją, co jest pod rykiem.

Morze znów zaszumiało, ale teraz było spokojniejsze. Słońce dotknęło wody i zaczęło znikać.

– A jeśli zapomnę? – spytał Leoś cicho.

Latarenka przygasła, stając się maleńkim punkcikiem światła.

– To ja czasem wrócę – powiedziała. – A czasem wystarczy, że przypomnisz sobie to uczucie w łapkach. Chłód wody. Oddech. Dwa światła.

I wtedy... zniknęła. Jakby rozpuściła się w zachodzie słońca.

Kilka dni później.

W przedszkolu Leoś bawił się klockami z innym lwiątkiem. Nagle ktoś zabrał mu jeden klocek. Serce Leosia przyspieszyło. Łapki zrobiły się twarde. W brzuchu zapalił się wulkan.

– RYYY... – zaczął.

I zatrzymał się.

Zamknął oczy na sekundę. Przypomniwał sobie fale. „Szzsz... bum... szszsz...”

– Jestem zły – powiedział głośno, trochę drżącym głosem. – Potrzebuję chwili... ale... nie idź daleko.

Pani Popi uklękła obok niego.

– Dobrze, Leoś – powiedziała ciepło. – Jestem tu. Weźmy chwilkę razem.

Inne lwiątko oddało klocek. Nie było ryku. Nie było ucieczki.

A po południu, na plaży, Leoś i Luna znowu budowali.

Kiedy Leoś poczuł ukłucie zazdrości, spojrzał na wieżę... i zamiast ją zburzyć, powiedział:

– Jestem zły... bo chciałem budować z tobą. Ale... nie chcę być sam.

Luna uśmiechnęła się i podała mu muszelkę.

– To budujmy razem.

Tego wieczoru Leoś zasypiał spokojniej. Morze szumiało cicho. A gdzieś bardzo daleko – albo bardzo blisko, w środku – mała latarenka świeciła dwoma kolorami naraz.

Bo Leoś nie był popsuty. Był lwiątkiem z wielkim morzem w sercu.

A teraz... zaczynał uczyć się, jak je pokazywać innym, zamiast na nie ryczeć.